

AUGUSTYN
PELANOWSKI

OSPPE

ZRANIONE ŚWIATŁO

KOMENTARZE
DO EWANGELII
ŚW. JANA

paganini

O książce

Moim dziełem, które napędza mnie do życia, jest głoszenie Ewangelii. Zanim ją jednak wygłoszę, najpierw spisuję, medytuję, myślę - wpatruję się wewnątrz. Spisuję moje dzieło życia dzień po dniu, bo zależy mi, by inni uwierzyli Jezusowi i przedostali się z tego świata, który jest jak obóz koncentracyjny, do świata, który jest szczęściem. To jest sens mojego życia.

o. Augustyn Pelanowski

Nie odśłania się najgłębszych ran przed nieznanymi osobami. Jezus zaś stanął i odśłonił wszystkie rany. Nie tylko odśłonił, ale i pozwolił się dotknąć. Słowa Jego były namacalne, a radość nie była zwykłą emocją, lecz stanem szczęścia. Ten, którego widzieli zniszczonego i zmiażdżonego na krzyżu, przegrany i skrwawiony, stanął przed nimi tryskający pokojem i radością, mając otwarte rany, ale pozbawiony bólu i emanujący szczęściem. (fragment książki)

Augustyn Pelanowski OSPPE

paulin, ojciec duchowny, rozmiłowany w Słowie Bożym zawartym w Biblii, nieustrudzony rekolekcjonista i kaznodzieja, spowiednik. Autor licznych książek:

Bestie i prorok,
Wolni od niemocy,
Umieranie ożywiające,
Odejścia,
Dom w Bogu,
Sen Józefa,

oraz komentarzy do Ewangelii:

Fale łaski
Głębiny miłosierdzia.

AUGUSTYN PELANOWSKI

OSPPE

ZRANIONE ŚWIATŁO

KOMENTARZE
DO EWANGELII
ŚWIĘTEGO
JANA

WERSJA
ELEKTRONICZNA

paganini

Skład i projekt okładki:
Marcin Jakimowicz

Korekta: Kinga Wenklar

Za zgodą Kurii Generalnej Ojców Paulinów

© Copyright: **paganini** Kraków 2013

© Copyright: Augustyn Pelanowski 2013

ISBN 978 83 89049 21 16

ISBN pdf 9788389049339

ISBN epub 9788389049346

ISBN mobi 9788389049353

paganini

ul. Batorego 19

31-135 Kraków

tel./fax: 12 623 71 81

tel. 12 423 42 77

sklep@paganini.com.pl

www.paganini.com.pl

Spis treści

Rozdział 1. Światło prawdziwe.....	7
Rozdział 2. Światło słowa.....	20
Rozdział 3. „Spakowane” słowo.....	23
Rozdział 4. Szczęśliwe ubóstwo	28
Rozdział 5. Syn Boga	33
Rozdział 6. Zamieszkaj w Bogu.....	38
Rozdział 7. Widzieć prawdę.....	41
Rozdział 8. Uczta w Niebie	61
Rozdział 9. Świętynia ciała.....	70
Rozdział 10. Wywyższeni	73
Rozdział 11. Największa przeszkoda.....	77
Rozdział 12. Same ułamki	89
Rozdział 13. Największy zaszczyt.....	93
Rozdział 14. Wzgardzona Hostia.....	97
Rozdział 15. Kościół gospodą	101
Rozdział 16. Najczystszy pocałunek.....	104
Rozdział 17. Rzut kamieniem.....	107
Rozdział 18. Lusterka	121
Rozdział 19. Ciasna brama	130
Rozdział 20. Pasterz	137
Rozdział 21. Miłość Boga.....	149
Rozdział 22. Łazarz	152
Rozdział 23. Ofiara w ogniu.....	157
Rozdział 24. Krew Baranka.....	161
Rozdział 25. Winny krzew	175
Rozdział 26. Spojrzenie Oblubienicy.....	178
Rozdział 27. Perła	181
Rozdział 28. Zmartwychwstanie	190
Rozdział 29. Duch Ożywiciel	196
Rozdział 30. Żarzące się węgle	204

Światło prawdziwe

J 1, 6-8.19-28

Jan mawiał, że przyszedł zaświadczyć o światłości. Czy można udowadniać istnienie słońca? Czy ktoś dostał nagrodę Nobla za udowodnienie istnienia światła? Światło to zjawisko jak najbardziej doświadczalne przez wszystkich. Po co więc świadczyć o nim? Dlatego, że chodzi nie o światło fizycznie doświadczalne, ale o światło, które pozwala na poznanie Syna Bożego i całego bogactwa łaski, jakie ze sobą przyniósł na ten świat. Łaską jest zobaczyć swój - wydawać by się mogło ponad wszelką wątpliwość - niełaskawy los jako sensowny. Do tego potrzeba wyjątkowego światła.

Gdy byłem małym chłopcem, zdarzyło się, że zostałem wieczorem sam w domu. Powoli ubywało dziennego światła, a ja, zajęty przeglądaniem książek nagle uświadomiłem sobie, że nie mogę niczego przeczytać z powodu mroku. Rozejrzałem się po pomieszczeniu i przeraziłem się. W oknie stała jakaś ciemna postać przypominająca kształtem upiora. Dreszcz zimna przebiegł mi po plecach. Wcisnąłem się w wersalkę i leżałem nieruchomo lękając się w tamtą stronę patrzeć. Trwało to dłuższy czas. W końcu usłyszałem klucz przekręcany w zamku, otworzyły się drzwi i ktoś zapalił światło w przedpokoju. Matka weszła do pokoju i dotknęła kontaktu dłonią. Usłyszałem przynoszące ulgę klik-

nięcie. Całe pomieszczenie wypełniło się światłem. Jakież było moje zdziwienie, gdy spojrzawszy w okno nie odkryłem tam żadnego potwora – to tylko zasłonka tak się ułożyła, że w ciemnościach wydawała mi się koszmarnym duchem. Światło może wiele zmienić w postrzeganiu wszystkich okropnych chwil, które ciągle wracają do nas z przeszłości jako upiory.

„Bóg uczynił dwa duże ciała jaśniejące: większe, aby rządziło dniem, i mniejsze, aby rządziło nocą, oraz gwiazdy” (Rdz 1,16). Po co dwa światła? Potrzebujemy Słońca Hostii i Biblii by w ciemnościach depresji nasza modlitwa stała się Księżycem od którego odbija się pocieszające światło Chrystusa i umacnia nas byśmy nie zapadli się w mroki bezsensu.

O tym wszystkim nie sposób zapomnieć, choć usiłujemy uczynić wszystko, by tego nie pamiętać. Gdyby nie rozpacz i bezsens, nie wypatrywalibyśmy Chrystusa tak, jak nocą szuka się z nadzieją księżyca na niebie! Moja rozpacz i bezsens wykluwają się z tego, że za bardzo żyję przeszłością i dręcę się niezrozumieniem tego wszystkiego, co przeżyłem zadając ból i znosząc go od innych. Ciąg wydarzeń jawi mi się nieoświetlony, bezkształtny, niepotrzebny, wykoślawiony moim żalem i pretensjami do siebie samego, jak zasłonka w oknie nieoświetlona żadnym światłem. Nie żyję pamięcią Słów Boga, które nadają właściwy kształt wydarzeniom, tylko tkwię w przeszłych faktach mojego losu niczym małe dziecko skamieniałe na wersalce i lękające się dobrze przyjrzeć oknu. Pamiętać to nie to samo, co ciągle żyć przeszłością, powiedział Irvin Yalom, ale mieć nadzieję to nie to samo, co ludzi

się. Łudzi się ten, kto chce zaprzeczyć swej rozpacz. Z jednej strony ugrzązłem w przeszłości i nie mogę jej strawić jak pokarmu, który jest nieprzegryziony i nieprzetrawiony. Z drugiej strony łudzę się, że przyszłość przyniesie, jakieś udane i satysfakcjonujące zdarzenia, które będą triumfalnymi awansami losu. Tymczasem sens nadaje światło emanujące ze Słowa Boga. Wydobywa ono to, co istotne w tym, co mnie jawi się jako nieudane. Czy tylko nieudane, w naszym ludzkim pojęciu, zdarzenia są istotne i dają mądrość? „Serce mędrca jest w domu żałoby, głupca, w domu wesela”, pisał Kohelet. Zdaje się, że nieudane życie, smutne i pełne błędów nieuchronnie prowadzi do mądrości. Sukcesy i zabieganie o to, by jawić się innym jako ktoś bezbłędny, strącają do Szeolu głupoty.

Czy życie Jana Vianney’a jawiło się jemu samemu jako udane i bezbłędne? Uważał się za najgłupszego księdza, ale na szczęście nie miał o to do siebie żalu, bo byłoby to czymś jeszcze denniejszym niż głupota. „Nie przejmował się nawet tym, że w swoich wypowiedziach w sposób rażący kaleczył gramatykę i składnię; zdawało się nam czasem, że robi to specjalnie, żeby ćwiczyć się w pokorze, bo niektórych błędów naprawdę był w stanie uniknąć”. (A. Monin, *Zapiski z Ars*). Pomyśleć, chciał popełniać błędy nawet w tym, co mówił!!! Sacha Pecarić we wstępie do Księgi Kapłańskiej, napisał, że jest ona księgą setek błędów i pomyłek, pomyślonych osób gramatycznych, złej składni, zbędnych powtórzeń. Dlaczego właśnie ta księga? Dlaczego właśnie księga skierowana do kapłanów jest księgą z największą ilością błędów gramatycznych i innych?

Rozmowa Jana Chrzciciela z kapłanami i lewitami z Jerozolimy jest trudna do odczytania, na przykład dla kogoś takiego jak ja – dla kapłana, nawet dziś, po tylu wiekach. „Pośród was stoi Ten, którego nie znacie!” Przekonanie o bezbłędności okazuje się błędem najtragiczniejszym, bo uniemożliwia poznanie Mesjasza. Im bardziej starałem się być bezbłędnym kapłanem, tym bardziej oddalałem się od Niego. Zastanawiam się czy na pewno znam Jezusa Chrystusa i tę Światłość, którą On w sobie ukrywa? Światłość, która pada na okno krzyża rozchylając zasłony niezrozumienia prawdziwej treści życia. Czy ja jestem z Nim w intymnej zażyłości? Czy moja wiara w Niego jest tylko teologiczną znajomością, czy aż osobistą przyjaźnią? Czy moja przyjaźń z Nim jest rzeczywista czy tylko iluzoryczna?

Nie znajduję wyczerpującej odpowiedzi na te pytania, potrafię je tylko sobie samemu zadawać od lat i doprawdy nie wiem, czy kiedyś usłyszę satysfakcjonującą mnie odpowiedź. Zresztą, chyba nie można w tym życiu usłyszeć odpowiedzi na takie pytania. W chwili, w której stwierdzilibyśmy, że mamy idealną relację z Bogiem, taką, która nie potrzebuje już pogłębienia, automatycznie przestalibyśmy ją mieć. Żyje się pragnieniem Boga, a pragnienie dotąd istnieje, dopóki nie jest spełnione do końca. Z drugiej strony, czy może być tak, że już samo zastanawianie się nad tym, czy się kogoś kocha, jest dowodem, że się go tak naprawdę nie kocha? Carlos Ruiz Zafon napisał: „W chwili kiedy zaczynasz się zastanawiać czy kogoś kochasz, przestałeś go kochać na zawsze”.

Może zresztą nie chodzi o to by zaspokoić się odpowiedzią, tylko by niepokoić siebie pytaniami? A może ani o pytania nie chodzi, ani o odpowiedzi, tylko o szaleństwo w miłości? Soren Kierkegaard napisał takie słowa: „Kapłan powinien być człowiekiem wierzącym. I to jak! Wierzący jest jak zakochany; ze wszystkich zakochanych najbardziej zakochany!”. Co to znaczy „zakochany”? Pełen szalonych błędów, czy wolny od nich? Miłość ludzka zawsze jest niedoskonała. Nawet święci ludzie miewali chwile, w których ich miłość do Boga zdawała się nie istnieć i było to dla nich udręką wskazującą właśnie na szaloną miłość. Tymczasem Bóg nigdy nie zwątpił w to, że nas kocha. W wierszu 10. czytamy, że Światło Prawdziwe było na świecie i świat przez nie powstał (EGENETO) lecz tenże świat nie poznał (EGNO) owego Światła. Pokora Boga nie zna granic: stworzyć świat, który nie chce rozpoznać swego Stwórcy, to tak, jakby matka urodziła dziecko, które po latach nie poznaje jej na ulicy. Bóg jednak bardzo potrzebował nas, nie mógł się powstrzymać przed zaryzykowaniem przyjaźni z nami, uczynił wszystko, by „wyjaśnić” siebie swojemu stworzeniu.

I jest tylko jeden jedyny powód, dla którego to uczynił: nie tylko chciał kochać, ale i chciał być kochanym! Pragnął miłości i przyjaźni z człowiekiem. Pomyśleć: Bóg pragnie być kochany.

Przyjaźń istnieje tylko pomiędzy takimi dwoma osobami, które się znają, a to oznacza, że nie kryją przed sobą tajemnic i mają czas na to, by się sobie zwierzać ze wszystkiego. Gdy ludzie się kochają,

mówi się, że „chodzą ze sobą”. W hebrajskim tekście opowiadającym o relacji Henocha z Bogiem zostało napisane: „I chodził Henoch z Bogiem. I nie było go, bo zabrał go Bóg” (Rdz 5,24). Może te słowa najlepiej oddają charakter więzi, jaką się powinno mieć z Wszechmogącym?

Wydaje mi się, że Bóg potrzebuje człowieka by być sobą, choć brzmi to teologicznie podejrzanie. Ta relacja nie jest oparta na równości. My potrzebujemy Boga, by być szczęśliwymi, ale On nas potrzebuje, by nas szczęściem obdarowywać... a to znaczy: być Bogiem! **„Gdy się dostrzeże, kto bardziej na tej relacji korzysta, zaskakujące jest to, kto bardziej o nią zabiega”.** (R. Hidden).

Głupca trzeba się strzec a przyjaciela strzec – nikt nie daje wytchnienia. Czy mój czas jest wypełniony poznawaniem Jego tajemnicy i czy mam czas by ujawniać przed Nim moje tajemnice? Czy znał Jezusa Piotr, który pierwszy rozpoznał w Nim Syna Bożego pod Cezareą, skoro w decydującym momencie, indagowany przez służebną Kajfasza, oznajmił: „Nie znam tego człowieka”? Właśnie wtedy zapiał kogut! Podobno koguty na drugiej półkuli ziemskiej pieją tuż nad ranem - gdy widzą na horyzoncie wschodzącą gwiazdę Kanopus. Gdy widzą pierwszą światłość na niebie! Mam światło, gdy widzę, że wypieram się Jezusa, nie chcąc z Nim przeżyć tego życia, by wygrać tamto. Tkwię w ciemności, łudząc się, że jestem do końca wierny i nigdy się Go nie wypnę.

Głupie panny czekały aż do północy z lampami, a gdy zdobyły już światło poznania, okazało się, że jest

za późno i usłyszały zza drzwi straszne słowa: „Nie znam was!”. Można więc spóźnić się z poznaniem Tego, który do nas pośpieszył, aby nas zbawić. Każda sekunda decyduje o całej wieczności. Możliwe, że tyle dni będziemy siedzieć w czyśćcu, ile zmarnowaliśmy czasu na bieganie po rynku za oliwą, zamiast spędzić go na poznawaniu Oblubieńca (por. Mt 25,8-11). Żaden dzień, w którym zaniedbałem brewiarz albo przeoczyłem słowa z lekcjonarza, już nigdy się nie powtórzy. Nie sposób odzyskać chwil zmarnowanych na leniwym przesypianiu słów liturgii.

Po incydencie z kobietą przyłapaną na cudzołóstwie, Jezus mówi do Żydów: „Nie znacie Mnie ani mego Ojca”. Znać Jezusa, to ocalać, wybawiać, a nie potępiać, albo niszczyć – wydobywać najmniejsze iskry światła z ciemnych życiorysów, a nie gasić knotki ledwie się tęgające. Być może Jezus powiedział jeszcze inne słowa: „nie znacie jej losu, życia, powodów, dla których ona tak upadła; i nie znacie Mnie, bo Ja jestem w tych najmniejszych braciach i siostrach”? Judasz nie umiał spojrzeć na Jezusa w świetle, spoglądał na Niego w mroku swej duszy. Judasz znał tylko miejsce za Cedronem. (Cedron, to nazwa pochodząca od hebrajskiego CEDAR, czyli mrok; wydaje się być to sugestią odnoszącą się do poziomu znajomości Chrystusa przez Judasza). Gdy Judasz wybiegł z Wieczernika była noc, jak to dopisał Jan w swej ewangelii. Nigdzie nie napisano o Judaszu, że znał Jezusa, tylko, że znał miejsce za Cedronem, gdzie Jezus modlił się z uczniami! Wiem dobrze, gdzie jest kaplica w naszym klasztorze, ale czy to wystarczy? To była znajomość,

ale nie głębokie poznanie. Powierzchniowa znajomość Jezusa, wcześniej czy później prowadzi do zjudaszowania. Nie wystarczy się po prostu modlić, trzeba modlitwę uczynić spotkaniem w miłości. A Judasz przychodził na miejsce modlitwy, by zdradzić pocałunkiem. Pusty gest jest gestem pustoszącym i odrażającym. Myślę o tym, ale tylko czasami, gdy całuję ołtarz przed i po Mszy.

Do Samarytanki Jezus rzekł: „O gdybyś знаła Dar Boży i wiedziała, kim jest Ten, który ci mówi: daj mi się napić!”. Znać, to pragnąć Ducha Świętego bardziej niż orzeźwiającej wody ze źródła w tropikalne południe na pustyni, gdy upał osłabia wszelkie chęci i siły. Czy poznałem tę drogę światłości wiodącą do Ojca przez serce Syna aż tak dogłębnie, iż nic nie kieruje już mych stóp na mroczne bezdroża grzechu? Znać, czyli wpatrywać się nieustannie, najgłębiej, bez końca – bo Bóg jest najgłębiej ukryty i najbardziej obecny, jak mówi św. Augustyn. Znać, czyli nieprzerwanie poznawać, cały czas się nasycać i nigdy się tym nie nasycić – zupełnie jak z oddychaniem.

Nie wszyscy widzieli Jezusa, gdy wstawszy z martwych rozmawiał z Magdaleną: najpierw „zobaczyła” Go miłość Magdaleny. Niektórzy zaś nie widzieli, ponieważ mieli oczy na uwięzi. Oczy patrzące bez miłości są ślepyimi oczodołami. Jedynie oczy miłujących były otwarte – w takiej mierze, w jakiej miłowali. „Tak jak osoba Jezusa – a nie idea, której osoba ta musiałaby dorównać – jest najpierwszym przedmiotem religijnej miłości, tak również punktem wyjścia uczucia miłości jest ontycznie realna

osoba: osoba Boga”. (M. Scheler). Nie kocha się idei, ani dogmatu, tylko osobę, a żeby kochać trzeba poznawać. Jeśli mówię, że znam, ale nużące jest dla mnie spożywanie wieczerzy eucharystycznej z Jezusem i nawet przez chwilę nie uświadamiam sobie, ile Go to wszystko kosztowało; albo modląc się, przestaję być świadomy i tego, co mówię, i tego do Kogo wypowiadam moje słowa, to czy ja w ogóle Go znam? Bóg zna wszystkich po imieniu, ale większość zna Go tylko z imienia!

Niektórzy zaś nawet z imienia Go nie znają. Bo znać Imię Boga to znaczy poznać Go osobiście, mieć z Nim najintymniejszą więź. Bywa, że ludzie mówią, że się kochają z kimś, nawet wtedy, gdy nie znają tego kogoś choćby z imienia. Taka sytuacja zachodzi na przykład w agencji towarzyskiej. To jest odrażające nadużycie słowa „kochać”.

To my się zmieniamy poznając Jego, a nie On się zmienia, gdy Go poznajemy: **BO Z KIM PRZESTAJESZ – BO-S-KIM SIĘ STAJESZ!** Nie znam Go, gdy mówię ze znużeniem: już to wiem, już to czytałem w Biblii, znam już tę modlitwę, wiem to! Dojście do takiego momentu w wierze, w którym wszystko już staje się nudnawe i mdłe, bo „jest znane”, jest pierwszym znakiem utraty poznania Chrystusa. Bóg wypowiedział jedynie najważniejsze słowa w Biblii i nie chce, by wykreślono choćby to najmniejsze, nawet gdyby ktoś uważał je za nieudane. Jeśli uważasz, że znasz już Biblię na wylot, to uświadom sobie, że w Biblii jest więcej odpowiedzi, niż my wszyscy jesteśmy w stanie zadać pytań.

Jest w zwyczaju naszej wspólnoty Skałecznej bezpośrednio przed spożyciem obiadu czytać dziesięć wierszy z Biblii. Zaledwie 10 wierszy! Któregoś razu odczytano fragment o szczegółach Przybytku Świętego z Księgi Wyjścia (zob. Wj 36). Można się oczywiście trochę znużyć słuchając o deskach, tkaninach, sznurach, skórach kozich, poprzeczkach, pierścieniach, które miały być wykonane ściśle według wzoru, jaki Mojżesz zobaczył na Horebie. Zawsze jednak z tajemniczą ciekawością słucham tych tekstów przypominając sobie, że ani jedna **jota**, ani **kreska** nie powinna być usunięta z Tory. Jeden z szanowanych ojców, który zasiadał naprzeciw mnie przy stole obiadowym, po zakończeniu czytania powiedział głośno do mnie, że właściwie można by pominąć takie fragmenty, które nic nie wnoszą do życia. Pomyślałem przez chwilę, czy zgodziłby się usunąć choćby dwie litery z jego bogatej naukowej tytułatury? Chyba byłem złośliwy, ale nie mogłem się powstrzymać przed tą refleksją, która spowodowała mój cichy uśmiech. Akurat za oknem wznoszono podest przed uroczystością św. Stanisława, który miał służyć do zasiadania na nim czcigodnych gości, jak również i mego rozmówcy. Dochodziły więc zza okna odgłosy technicznych czynności, układania desek, skręcania śrub, rozkładania tkanin i dekoracji. Pomyślałem, że gdyby pominięto jakiś szczegół w tej technicznej konstrukcji ołtarza polowego, groziłoby to jego zawaleniem. Bezpieczeństwo nie jednego, ale wszystkich byłoby zagrożone. Pomyśleć, że wystarczyłoby, żeby jedna śruba była pominięta, a spowodowałoby to okaleczenie wielu dostojnych osób.

W celi mam wygodny fotel, wysłużony, ale sprawny. Tego samego dnia wysunęła się jedna śruba podtrzymująca siedzisko i zupełnie nie dało się na nim siedzieć. Jedna, jedyna śrubka, niewidoczna, bo wkręcona głęboko w drewnianą ramę. Bez tej śrubki moje czytanie, pisanie i cokolwiek miałbym jeszcze na tym fotelu uczynić, stało się niemożliwe. Musiałem sobie zadać trud wkręcenia jej z powrotem. Istniały w prawie żydowskim prawa zwane CHUKIM. Były one prawami, których celu nikt nie mógł się domyśleć – niewidoczne niczym śruby wkręcone głęboko w ramy Prawa. Wypełnianie ich – bez poznania ich użyteczności – było aktem wiary w Boga. Skoro On coś nakazał to na pewno miały sens i znaczenie. Ich absolutna niepoznawalność była dowodem głębokiego poznania ... Boga!

Zdumiewa mnie, jak wielu ludzi chciałoby się pozbyć tego, co mają najcenniejsze: problemów. (Gdybyśmy się pozbyli problemów, czy nie byłibyśmy zbyt dużym problemem dla innych?). Pozbawiając się ich czynią z siebie księgę, z której wymazuje się najwartościowsze treści.

Napisałem kiedyś komentarz do czasopisma i usunięto z niego tylko jedno zdanie, ale było ono dla mnie najwartościowsze, choć mogło bulwersować czytelników (może rzeczywiście było nieudane albo nieszczęśliwie sformułowane, a może było zbyt głęboko wkręcone w życie, by ujrzeć jego sens?). Poczułem wtedy jakby ktoś pozbawił mnie serca. Podejrzewam, że wszystkie słowa Pisma Świętego były podyktowane z samego Serca Boga! W każde słowo

włożył całe Serce! Każde Jego słowo, jak nieudana i nieszczęśliwa śrubka.

Tysiące ludzi nie chcą siebie samych znać, pragnąc zrzucić z siebie ciężar bólu, jaki przeżyli. Nie ma większego nieszczęścia niż możliwość pozbycia się wszelkich nieszczęść. Jakżeż można znać Chrystusa, wymazując w sobie stygmaty podobieństwa do Niego? Miałem redagować ten tekst po godzinie 10.00 rano, ale zaraz po mszy rannej przyszła do mnie starsza kobieta i natarczywie prosiła mnie, bym pomógł jej rozwiązać wszystkie problemy i pozbawił ją ciężaru wspomnień. Wspomnienia ją uwierały jak jakieś śruby wkręcone w kości. Stała przede mną jak umęczony robak, wlokący swój odwłok cierpienia i domagający się odcięcia go. Marzyła o życiu beztroskim i pełnym świętego spokoju, nie wiedząc, że święty spokój jest pogodzeniem się ze wszystkimi niepokojami a nie pozbyciem się ich. Nie chciała siebie samej znać! Pomyślałem, że gdyby jakiegoś chrząszcza pozbawiło się nieміłego odwłoka zostawiając mu jedynie nadobną główkę, to nazywałoby się to okaleczeniem stworzenia (niektóre, na ciężkim odwłoku pod chitynowymi pokrywkami ukrywają skrzydła, które pomagają im się unosić w górę!). Jej oczy przypominały mi pacjenta, który domaga się od lekarza znieczulenia, które miałyby już nigdy nie przestać działać. W medycynie znieczulenie pomaga przyjąć przykry zabieg i trwa krótki czas, ale pragnąc być już zawsze nieczułym i to na własne życie, to coś najgorszego, czego można się domagać. Słuchałem jej i myślałem, czy mam w sobie zgodę na wszystko, co dotychczas przeżyłem? Miło-

sierny Panie, wysyłasz do mnie lekarzy, którzy myślą, że są pacjentami! Przebiegałem w myślach wszystkie karty mojej przeszłości szukając w nich czegoś, na co się do dziś nie zgodziłem. Czy pragnę znać siebie takiego, jakim jestem naprawdę? Wydawało mi się, że dzięki tej niedługiej refleksji stałem się bliższy sobie samemu i bliższy Chrystusowi. Zadziwiające - najcenniejsze wydawały mi się te wspomnienia, które były przepełnione wstydem.

Joseph Fouché był człowiekiem o **udanym** życiorysie. Zawsze mu się wszystko udawało. **Wszyscy go znali**. Nie pił, nie uprawiał hazardu, był wierny żonie, mimo fortuny nigdy się z nią nie obnosił, doszedł po latach do godności księcia d'Otranto. A jednak był istotą monstrualną, jak dowodzi Andrzej Cisek: bezlitosny morderca, wykonawca zbrodniczych dekretów Konwentu Republiki Francuskiej, twórca manifestu komunistycznego, przebiegły minister policji, niszczyciel Kościoła i sługus każdej władzy z jaką miał możliwość współpracować. Bywa takie bogactwo, które doprowadza człowieka do czegoś fatalniejszego niż nędza.

Co jakiś czas czytam biografie. Lubię to czynić przed snem, leżąc już na tapczanie. Sen i sens nie zawsze jednak się nakładają. Ostatnio czytałem książkę o carycy Katarzynie II, podziwianej przez Voltaire'a imperatorowej Oświecenia. Jak bardzo bezsensownie jest prowadzić po ludzku udane życie. Co za mroczny typ ludzkiego gatunku z epoki mroku.

Światło słowa

J 1, 1-18

Chcąc pomóc komuś, kto znalazł się w wyjątkowo trudnej sytuacji, staramy się rozjaśnić jego ciemności, używając słów. Wkładamy całą swoją mądrość w każde usilne tłumaczenie, całą miłość, troskę, po prostu angażujemy całego siebie, aby tylko pomóc komuś, kto już nie widzi żadnej szansy na poprawę losu. Otóż podobnie uczynił Bóg wobec ludzkości. Dał nam wyjaśniające światło swego Słowa, i w tym Słowie zawarł całego siebie. Światłość, blask Słowa, które stało się Ciałem, wyjaśniła ludziom sens i cel życia: otrzymać moc, by stać się dziećmi Boga, narodzić się jeszcze raz na nowo dla wieczności. Ludzkie istnienie to nie tylko kolekcja potrzeb, ale też potrzeba bycia potrzebnym komuś. „Niczego tak nie potrzebuję, jak być potrzebnym komuś”, mawiał Heschel! Okazuje się, że tym, który mnie potrzebuje na zawsze, jest właśnie Bóg. Chce mieć we mnie dziecko. Prawda ta zostaje objawiona w ujawnieniu się miłości Ojca i Syna. Tylko dziecko czyni kogoś ojcem. Bóg ma wiekiustą potrzebę ojcostwa, dlatego potrzebuje mnie, jako dziecka. Ja zaś mam nieskończoną potrzebę przekraczania ograniczeń wynikających ze zmysłowych potrzeb. Dzieje się tak, ponieważ sam sobie nie wystarczam i gubię się, gdy nikomu nie jestem potrzebny. Ale komu je-

stem tak naprawdę potrzebny do szczęścia na zawsze? Okazuje się, że poza wieloma ludźmi, nade wszystko Bogu. Ta świadomość jest oświeceniem, światłością, rewelacją! Zawsze potrzebowałem kogoś, komu jestem potrzebny nie dla krótkoterminowej przysługi, lecz do szczęścia, które nigdy nie zgaśnie. Miłość Boga nie jest afektem, zauroczeniem, uczuciem, ale Jego istotą. Kogoś takiego zawsze oczekiwałem, a oto teraz, łaska po łasce, zrozumienie po poznaniu, spełnienie po obietnicy, widzę Niewidzialnego w Chrystusie! Chrystus jest objawioną potrzebą Boga, który beze mnie nie będzie Ojcem dla mnie.

Prolog Jana mówiący o Jednorodzonemu Synu, ukrytym w łonie Ojca, wyjątkowo rozbłyska na tle mrocznych rewolucji genetycznych, pomysłów heterologicznych, banków nasienia, na tle odrzuconego ojcostwa, nigdy nie dorastających mężczyzn, mnożących się domów dziecka i całej osieroconej cywilizacji, jak ją nazwała Edith Wyschogrod, w jakiej jesteśmy pogrążeni. Pewien zacięty ateista, biolog, Jacques Testart, jest równie zaciekle przeciwnikiem sztucznego zapłodnienia. Mówi on, że jedynie w świecie zwierząt jest rzeczą obojętną, kto jest ojcem biologicznym. Gdy w Szwecji zezwolono na heterologiczne zapłodnienia, okazało się, że dzieci poczęte z takich eksperymentów, popadały w obsesyjną zazdrość genetyczną. Poszukiwały swych biologicznych ojców, w rozpacz i przerażeniu.

Mogę się bardzo łatwo przekonać, czy jestem naprawdę dzieckiem Boga: jeśli nim jestem, rzucę wszystko, by Go odnaleźć!